

## Szkice z dziejów literatury rusińskiej w Galicyi.

### I.

#### Jutrzenka odrodzenia.

W jakim stanie Ruś galicyjska z pod panowania Rzeczypospolitej polskiej przeszła pod Austryję, to zapewne dostatecznie wiadomo każdemu inteligentnemu polakowi, który czytał bodaj ks. Likowskiego dzieje kościoła unickiego w XVIII i XIX wieku, lub ks. Kalinki dzieje sejmu czteroletniego. Liczne i możne niegdyś mieszczaństwo rusińskie, zorganizowane w bractwa cerkiewne — podupadło materyjalnie i straciło swój urok z przyjęciem unii i ustaniem wań obrzędowych. Szlachta rusińska dawno już była wynarodowiona, a właściwie, przyjąwszy

katolicyzm nie poczuwała się do solidarności z Rusią, chociaż w znacznej części używała jeszcze w rozmowie domowej jej ludowego języka. Wyższe duchowieństwo, zwykle szlacheckiego pochodzenia, oddawna upośledzane przez naczelne sfery Rzeczypospolitej, oddawna też przywykło ku tym sferom przeważnie zwracać swe oczy; dobijało się krzesel senatorskich, godności i przywilejów, mało zwracając uwagi na sprawy dyecezyj. W chwilach wolnych od „wyższej polityki” zajmowało się zdobywaniem dla siebie faworów możnej szlachty i dygnitarzy państwowych. Dodać przytem należy, że to wyższe duchowieństwo — biskupi i kanonicy — pochodzili wyłącznie z mnichów, Bazylijanów; nie dziw więc, że niższe duchowieństwo świeckie trzymało w ciemnocie, ubóstwie, poniżali i tyranizowali rozmaitymi sposobami. Zresztą i między owym wyższym duchowieństwem rusińskim drugiej połowy XVIII w. rzadko trafiali się ludzie wyżsi charakterem, wiedzą, lub bodaj tylko poczuciem swych obowiązków. Jednym z niewielu ludzi tego rodzaju był *Mikołaj Szadurski*, proto notaryjusz stolicy św. i jeneralny wyzytator archidyecezyi lwowskiej, po którym pozostał znakomity i nadzwyczaj cenny opis wszystkich cerkwi i parafij tej dyecezyi z lat 1762—1868, leżący dotychczas w archiwie kapituły lwowskiej. Że zresztą po rusińskich monasterach ówczesnych trafiali się ludzie uczeni, światli i biegli w teologii, o tém świadczą pamiętniki ówczesne (np. pamiętnik Karpińskiego), lecz już z powodu swego życia, odosobnionego od ludu, a więc bliższego szlachcie, ludzie ci nie mogli mieć prawie żadnego wpływu na społeczność rusińską.

Co się zaś tyczy niższego, wiejskiego duchowieństwa rusińskiego, to ono w wieku XVIII spadło było do ostatecznego stopnia poniżenia, ciemnoty i ubóstwa. Biskupi, osobliwie w Chełmie, za dobrą płacę, wyświęcali na księży wiejskich ludzi zaledwie umiejących czytać, nie rozumiejących tego co czytają (w języku cerkiewnym), ani umysłowo, ani moralnie do przewodnictwa religijnego nie wykwalifikowanych. Szlachta traktowała takich księży mało co lepiej jak chłopów-pańszczyźniaków, a nieraz gorzej. Mam pod ręką zapiski dokumentalne z owych czasów, w których znajduje się między innemi opowiadanie o księdzu, który „we dworze za błazenka był uważany” i którego gdy zaproszono do dworu na obiad, sadzano za osobnym stołkiem i podawano mu pieczoną wronę: gdy on jadł, goście klaskali w dłonie i krzyczeli „kra! kra! kra!” Biskupi i kanonicy traktowali księży wiejskich również nie lepiej; kara cielesna, wy-

mierzana przez nich na duchownych osobach, była w ogólnym użyciu. Nie dziw więc, że wśród takich okoliczności między niższem duchowieństwem szerzyła się nieraz demoralizacja. W zapiskach dekanalnych o wizytacjach dziekanów po parafjach aż nadto często czytamy stereotypowy frazes: „parochus ebrius inventus est;” w jednym z rękopismów biblioteki Ossolińskich (525) dotychczas przechowuje się skarga parafijan na swego księdza, który „przystał do bandy złodziejskiej” i robi wielkie szkody swym owieczkom.

Administracja polska również daleką była od tego, by nie już opiekować się tymi nieszczęśliwymi i powszechnie wzgardzonymi parjasami, ale nawet czynić im prostą sprawiedliwość, traktować ich wedle prawa. Prosty ekonom liski w r. 1760 sprzeciwił się rządowi, nie chcąc wydać w ręce sprawiedliwości żydów ze wsi Pobidna, którzy zabili księdza rusińskiego, tak że o ten elementarny akt sprawiedliwości, jak o jakąś łaskę prosić musiał sam biskup Szumlański starosta sanockiego Mniszka (Rękop. Ossol. 2704). Nie dziw więc, jeżeli wśród takich okoliczności niższe duchowieństwo częstokroć upadało niżej poziomu godności ludzkiej i kapłańskiej; dziwniejszem musi nam się wydać to, że wśród tych fatalnych okoliczności znajdowali się jeszcze w „popowskich rewerendach” ludzie stosunkowo światli, dla prostego ludu przychylni i o swą godność dbający, ba, nawet ludzie z budzącem się poniekąd poczuciem narodowym, z pragnieniem oświaty, wiedzy i pracy umysłowej. Co prawda, byli między ówczesnymi księżmi wiejskimi ludzie zamożni, były rodziny, w których kapłaństwo trzymało się w rodzinie i którzy nawet dziedzicznie zajmowali te same parafie i mieli w nich swoje prywatne grunta i gospodarstwa. Mimo to jednak, życie przeciętnego księdza wiejskiego mało czem się różniło od życia chłopca, oprócz tego, że ksiądz nie robił pańszczyzny. Ciekawa rzecz, że głównie w ubogich górskich okolicach spotykamy księży, którzy już od początku XVIII wieku czują potrzebę stworzenia języka piśmiennego jaknajbliższego mowy ludowej i pierwsi też praktycznie wchodzą na tę drogę. Mamy wiadomość o dwóch takich księżach. I tak, w roku 1736 *Iwan Prystopski*, paroch w nędznej i maleńkiej wioszczynie górskiej Kamiennej, obecnie pow. grybowskiego, przetłómaczył psalterz z języka cerkiewnego na narzecze rusińskie t. zw. lemkowski, jakiem mówi lud w tamtej okolicy, i dodał też do każdego wiersza psalmów odpowiedni wiersz z pisma św. nowego testamentu.

Nadzwyczaj ciekawa ta praca pozostaje dotychczas w rękopisie.

Drugi podobny nieświadomy apostoł narodowego odrodzenia Rusi galicyjskiej był *Teodor Popowicz*, paroch tuchlański (obecnie powstryski), który w r. 1751 spisał książeczkę nadzwyczaj ciekawych legend apokryficznych, w języku prawie czysto ludowym, dodawszy na początku wiersz p. t. „Piśń o świti,” napisany sposobem, tonem i językiem bardzo blizkim do pieśni ludowych (Rękop. Ossol. 2189).

Co się zaś tyczy prostego ludu, to ten stanowił dla siebie osobny świat. Robił pańszczyznę, pocił się koło swój roli, podlegał pańskiej judykaturze, śpiewał swe pieśni, trzymał się swych obrzędów i o niczem więcej nie myślał. Zwierzchność gminna była na usługach dziedzica i jego oficjalistów; obok cerkwi istniały bractwa cerkiewne, które miały dbać o porządek w cerkwi, po części nawet o oświatę, ale szkółek parafialnych było bardzo mało, nie wiem czy naliczyłoby się 50 w całym kraju.

Bez wielkich różnic w stanie ekonomicznym, ale w atmosferze zupełnej ciemnoty i przygnębienia żył ten lud niby we mgle. Żywszym naturom, żadnym ruchu i zmiany, pozostawała tylko jedna droga—opryszkowstwo, rozbójnictwo, żebractwo i wogóle życie niestałe, nielegalne, ale wolne. Była to też jedyna naówczas forma protestu ludowego przeciw panującemu porządkowi rzeczy. Ze szlachty i duchowieństwa, nikt się nie troszczył umysłowym życiem tej ciemnej masy, nikt nawet nie przyznawał jej prawa do umysłowego rozwoju. Nawet mieszczaństwo, umysłowo nie o wiele wyżej od chłopów stojące, gardzili nimi. Tu i owdzie tylko w starych zbiorach pieśni lub na marginesach starych ksiąg i rękopisów, spotykamy zepisaną jakąś piosenkę ludową rusińską, zwykle humorystyczną lub tłustą—jedyny ślad uwagi inteligentnych ludzi owych czasów na życie i plody umysłowe prostego ludu.

Zasadniczo nie zmieniły się w niczem te stosunki i po 1772 r., t. j. po zabraniu Galicji przez Austryję. Wprawdzie rząd austriacki, osobliwie Maryja Teresa i Józef II mieli zamiar zrobić dużo dla ludu i dla Rusinów, lecz czyny nie zupełnie odpowiedziały zamiarom. Maryja Teresa założyła w 1774 r. w Wiedniu przy kościele św. Barbary seminaryjum dla kleryków obrządku grecko-katolickiego z Węgier, Siedmiogrodu i Kroacyi i kazała do tego seminaryjum przyjmować także po 6 kandydatów rusińskich z obu dycezyj galicyjskich. Seminaryjum to istniało dziewięć lat. Józef II założył w 1783

r. we Lwowie seminaryjum duchowne dla wychowywania gr.-kat. duchowieństwa, zaś 1784 r. założono tamże uniwersytet, przy którym był też wydział teologiczny i do którego wstęp mieli ci tylko, co ukończyli przedtem sześć klas gimnazyjalnych. Co więcej od 1787 r. na rozkaz tego cesarza zaprowadzono dla rusińskich alumnów takie wykłady na uniwersytecie w mowie rusińskiej. Również i ekonomiczny stan duchowieństwa został pod pewnym względem uregulowany. Zdawałoby się, że tak doniosłe reformy powinny były podnieść ducha Rusinów, dać bezpośredni impuls do odrodzenia narodowego, lecz właśnie to się nie stało. Duchowieństwo zaczęło się podnosić, ale równocześnie też zaczęło się odrywać od ludu, Ignąć więcej do szlachty i polszczyć się, tem bardziej, że pomimo reform Józefa II i zniesienia niewolniczego poddaństwa w 1782 r. stanowisko społeczne ludu wiejskiego wcale się nie polepszyło, przeciwnie, stan jego ekonomiczny zczasem coraz nawet się pogarszał wskutek zdzierstw licznój i nienasyconej biurokracyi niemieckiej, która razem z okupacją austriacką nawodniła kraj. Zamiast więc wyzyskać koncesyje Józefa II na polu szkolnictwa w celu podniesienia oświaty ogółu rusińskiego, w celu stworzenia literatury iście ludowej i żywej, jaką przeczuwali Prystopski, Popowicz i inni, rusińscy profesorowie silili się wykładać w niezrozumiałym języku cerkiewnym, zniechęcając swych słuchaczy i do nauki i do rusińszczyzny. Od 1787 do 1806 r. istniały te wykłady rusińskie na uniwersytecie lwowskim, nie przyniosły sprawie narodowej prawie żadnej korzyści, nie wydawszy ani jednej książki oryginalnej, ani jednego prawie świstka (prócz chyba „Onomastykonu” prof. Łodija), któreby, bodaj na swe czasy, miały jaką taką wartość i zdołały zainteresować przynajmniej szersze koła duchowieństwa. Nie dziw więc, że kiedy w 1806 r. zniesiono te wykłady, nikt ich nie żałował.

*Iwan Franko.*

## II.

Ciekawa rzecz, że rząd austriacki, mimo iż „rewidował” Galicyję, opierając się na pretensjach korony węgierskiej do Rusi czerwonej, nie wiedział właściwie, co za naród ma pod swą władzę w Galicyi wschodniej. Urzędownie zwano ten naród raz Russen, to znowu gens ruthena, Rusniaken; sami uczeni rusińscy zwali się narodem rosyjskim, małoruskim, lub słowiańskim; urzędnicy niemieccy widzieli w języku ludu podobieństwo do serbskiego lub illiryjskiego. Rząd zaś, dbały jedynie o utrzymanie w swoich rękach nowego kraju, czynił co mógł — nie w celu zaspokojenia organicznych potrzeb samego ludu, lecz odgrodenia go od Rosyi. Rządowy historyk Engel pisze historję „der Fürstenstümmer Halitsch und Wladimir” i polemizuje z pretensjami rosyjskich dostojników (jener. Tutolmina), którzy głosili jedność całego narodu ruskiego od Karpat do Uralu. Wpływem tej samej tendencyi — odciągnąć duchowieństwo rusińskie w Galicyi od związku z rosyjskimi unitami — było też zaprowadzenie duchownych seminaryjów dla Rusinów w Wiedniu i we Lwowie; wpływem tej dążności było wreszcie odnowienie w r. 1808 dawniej metropolii halickiej we Lwowie.

Jak ruskie wykłady uniwersyteckie, tak też i odnowienie metropolii halickiej nie było wielkiem dobrodziejstwem dla narodowego rozwoju Rusi galicyjskiej. Metropolitę mianował papież, a zatwierdził cesarz; rzecz oczywista, że na to wysokie stanowisko dostać się mógł tylko taki człowiek, który dawał rękojmię, że zawsze i w każdym względzie będzie na rękę tym dwom sferom interesów: kościołowi rzymskiemu i dynastyi Habsburgów. Jakoż rzeczywiście: widzimy to od samego początku istnienia metropolii, aż do dzisiaj z sześciu metropolitów, jakich mieliśmy dotychczas, trzej są nieco więcej Austriakami, niż Rzymianami (Angiełowicz, Jachimowicz i Litwinowicz), trzej zaś nieco więcej Rzymianie, niż Austriacy (Lewicki i obaj Sembratowicze) — lecz Rusinem narodowcem żaden nie był. Angiełowicz (był metropolitą 1808 — 1814) pisał patryjotyczne broszury w obronie Austrii przeciw Francyi po polsku (tłómaczone na język niemiecki i francuzki), po rusińsku zaś wydał za ledwie jedną kurendę, donoszącą wiernym o jego nominacyi na metropolitę. Głównym luminarzem inteligencyi obok pierwszego metropolity był ks. Michał Harasiewicz, ozdobiony orderem cesarskim i tytułem barona de Neuster w nagrodę za prześladowania, ucierpiane ze strony wojennego zarządu polskiego w r. 1809, autor wielkiego dzieła „Annales ecclesiae ruthenae;” napisanego po łacinie na podstawie dokumentów kapituły lwowskiej. W latach 1793—1797 wydawał wspólnie z Onyszkiewiczem i Marcinkowskim „Dziennik patryjotycznych polityków we Lwowie” w dębu austriackim, lecz przychylnym dla polszczyzny; Epizod z r. 1809, ucieczka wespół z Angiełowiczem ze Lwowa, aresztowanie ich obydwóch przez chłopów rusińskich w pogranicznej wiosce górskiej Seneczole i krótkie więzienie w Stryju — uczyniły go wrogiem Polaków. W dziele swem, napisanem w ostatniej dobie życia, kwestyję rusińską postawił na gruncie obrzędowym, z dziejów wysnuwał przeważnie tylko czarną nić, nienawiści i antagonizmu religijnego; zresztą o poglądach jego sądzić z dzieła tego trudno, gdyż wydał je dopiero w ćwierć wieku po jego śmierci inny człowiek, daleko goręcej i systematyczniej nienawidzący Polaków, który też w tekście bardzo liczne — jak się zdaje — poczynił wstawki i poprawki.

Epizod z aresztowaniem metropolity rusińskiego i jego głównego kanonika przez chłopów rusińskich w r. 1809 ciekawym jest jeszcze z jednego względu: był on najlepszym świadectwem tego, jak obcymi byli pasterze duchowni swemu ludowi, jak mało mieli wobec niego powagi. Tak samo jak dla chłopów seneczolskich, byli oni obcymi także sprawie narodowej rusińskiej wogóle. Czas od odnowienia metropolii halickiej do śmierci Angiełowicza należy do najmłodszych czasów w piśmiennictwie rusińskim, możnaby go nazwać czasem ciemności

egipskich. Od roku 1809 do 1813 nie wyszła ani jedna książka rusińska, ani jeden elementarz, nie wydano ani jednego abecadła. Co więcej, nikt z Rusinów nie wydał w tym czasie ani jednej książki, ani jednej rozprawki chociażby w jakim innym języku. Ta martwota umysłowa nie da się wytłómaczyć ani usprawiedliwić zamieszkami politycznymi, wojnami napoleońskimi; przeciwnie, wojny te w niejednym względzie mogłyby być żywo dotknąć interesów narodowych rusińskich, wywołać niejedną ciekawą publikacyję, gdyby w kimkolwiek było istniało takie poczucie narodowe.

Pierwsze przebłyski nowego ruchu, pierwsze brzaski tego, co w nagłówku obecnego szkicu nazwałem „Jutrzenką odrodzenia,” wyszły z Przemysła. Na stolicy biskupiej siedział tam wówczas Michał Lewicki, człowiek małych zdolności i słabego charakteru, lecz pozostający pod dobroczynnym wpływem kanonika *Iwana Mogilnickiego*, byłego ucznia wszechnicy wiedeńskiej i słuchacza znanego sławisty Kopitara. Był to pierwszy mąż na Rusi halickiej, który starał się panujące tutaj ciemności egipskie w sprawie narodowej rozproszyć za pomocą światła nauki, który, uzbrojony arsenałem gruntownej, jak na owe czasy, wiedzy filologicznej, zabrał się do studyjowania ludowego języka rusińskiego, przede wszystkim zaś starał się popełnić hierarchiję do praktycznej działalności około oświaty i umysłowego podniesienia ludu. Mam przed sobą rękopiśmienną księgę p. t. „Protocollum expeditionum concernentium scholas parochiales” czasu do końca Lutego 1815 r., (wedle której aż do 1829 roku można śledzić, jak pilnie zajmował się Mogilnicki szkołami wiejskimi. Z jego inicjatywy wydał Lewicki w r. 1815 Katechizm, w r. 1816 elementarz dla szkół ludowych. Przemysł nie miał jeszcze swój drukarni; że książek owych nie drukowano we Lwowie, ale aż w stolicy węgierskiej Budzie, świadczy to o tem, że we Lwowie nawet po śmierci Angiełowicza (gdy dycężyją tymczasowo rządził Harasiewicz), niechętnem okiem patrzano na te zabiegi Mogilnickiego. Lecz nie dość na tem. Mogilnicki zgrupował około młodego biskupa kółko ludzi szczerych, po części dostojników kapituły przemyskiej, po części zaś praktycznych dusz pasterzy i, korzystając z wrażeń, jakie odniósł biskup podczas wizytacyi swój dycężyi w r. 1814—15, skłonił tegoż do wzięcia inicjatywy w założeniu stowarzyszenia dla wydawania dzieł popularnych i religijnych. Statut tego towarzystwa, wypracowany przez Mogilnickiego po łacinie, uzyskał zatwierdzenie cesarskie; Rzym jednak wskutek intryg niektórych wybitnych jednostek z pomiędzy duchowieństwa rusińskiego nie dał swój aprobaty i towarzystwo nie weszło w życie. Pierwsza ta, acz nieudatna próba zorganizowania inteligencyi rusińskiej dla pracy około oświaty prostego ludu, zasługuje ze wszechmiar na uwagę; statut owój „societatis presbyterorum ritus graeco-catholici galicensium,” nadrukowany w Wiedniu 1816 r. i stanowiący dziś wielką rzadkość bibliograficzną (do niedawna wywet bibliografowie nie wiedzieli o jego istnieniu, dopiero profesor rusińskiej literatury na uniwersytecie czerniowieckim przed dwoma laty odnalazł jeden egzemplarz) jest ważnym dokumentem dla historyi naszego rozwoju narodowego, dla historyi poglądów naszej inteligencyi na lud, jego życie, jakoteż na środki i cele jego oświaty. Podaję więc tutaj w dosłownem tłumaczeniu zasadniczy ustęp (§ 10) tego statutu, motywujący potrzebę założenia towarzystwa.

„Największa zaiste część owieczek Chrystusowych, zamieszkujących dyceżyję Przemyską wówczas liczoną ich trzy miliony) należy do klasy rolniczej. Zajęta uciążliwemi, klasie tej przypadłemi zajęciami, obowiązkami, troskami i strażami, zaniedbuje cnoty swemu stanowi i swym warunkom życiowym odpowiednie, popada zaś w występki cnotom tym przeciwnie. Napracowawszy się przez cały tydzień w ogrodach, polach i przy drogach, rolnik czuje potrzebę spokoju i wypoczynku, wskutek czego często zaniedbuje uczęszczania do cerkwi parochijalnej i na naukę świętą, i albo w pożałowania godnej bezczynności w domu odpoczywa, albo rozrywki szuka w szynkach i pijaństwie lub też po miasteczkach i targach, które wbrew licznych zakazów cesarskich wciąż jeszcze odbywać się zwykły w niedziele i święta. Zmuszony zaprawiać swe dzieci już od najmłodszejszego ich dzieciństwa do pomocy w swych pracach polowych, nie ma czasu dbać o to, by pobierały naukę re-

ligii, zaniechuje posyłać do szkół parafialnych i na nauki katechetyczne. Przyciśnięty niedostatkiem, zazdrosnym okiem spogląda na zamożniejszych swych towarzyszy i sąsiadów i nie robi sobie skrpułów z kradzieży i wyrządzania im szkód w polach, ogrodach, łąkach i w gospodarstwie.

Niezdolny do zrozumienia związku wielkiego społeczeństwa obywatelskiego i celów, jakoteż środków najwyższej władzy w rządzeniu tem społeczeństwem, mylnie uważa rozporządzenia cesarskie, nakazujące wykonywanie powinności obywatelskich, podatki publiczne na obywateli nałożone, stan wojskowy ustanowiony dla bezpieczeństwa publicznego—za same zła, zmierzające jedynie do jego przygnębienia i nie tylko zaniechuje obowiązki winne społeczeństwu i jego rządowi, lecz nawet przeciw tym obowiązkom często liczebnie wykracza, panów ziemskich, dzierżawców i posesorów dóbr ziemskich, ba nawet ich mandataryjuszów i oficyjalistów uważa i mianuje jakimiś swoimi tyranami i gnębicielemi i przynależne im powinności poddańcze bądź to zupełnie ponosić się wzbrania, bądź też co najmniej odbywa je mniej szczerze i mniej starannie. Dobra pańskie i ich plody uważa za owoc potu swego czoła, kradnie je więc przy każdej stosownej okoliczności, ba nawet dochodzi do tego stopnia zuchwalstwa i przewrotności, że nie wzdryga się pod ekonomie panów ziemskich i ich oficyjalistów podkładać ogień i zamieniać je w popiół. Wreszcie, mniemając, że urodził się i przeznaczony jest na wieczną nędzę, mienie zaś i gospodarstwo jego zależy od samowoli panów ziemskich, nie myśli o polepszeniu swego położenia i swych warunków życiowych; przeciwnie, co zyskał z pracy całego tygodnia, w niedziele i święta przepuszcza w szynkach i pijatykach, a w stanie nietrzeźwym częstokroć popełnia inne występki, sprzeczki, kłótnie i zabójstwa.

Wszystko to szczególnie mieć będzie na baczności Towarzystwo przy układaniu dzieł katechetycznych i homiletycznych, jakoteż przy pisaniu książek dla szkół parochialnych, i wytrwale wpajać będzie w lud następujące zasady: że stan włościański w rzeczy samej obarczony jest wieloma troskami i przykrościami, lecz że inne stany mają również swe troski i przykrości, i to tem większe, im wyższymi i wybitniejszymi są te stany; że prace całotygodniowe około roli i potrzeba spoczynku wcale nie mogą usprawiedliwiać zaniechania obowiązków religijnych w niedziele i święta, że pożądanym wypoczynkiem polegać powinien nie na spaniu, a tem mniej w pijatyce po szynkach, lecz raczej w wykonywaniu uczynków pobożnych, w słuchaniu słowa bożego i nauki duchownej; że rodzice wprowadzając dobrze robią, zaprawiając zawczasu swe dzieci do zajęć gospodarczych i dając im sposobność do wyuczenia się gospodarstwa, lecz że na rodzicach ciąży inny, daleko ważniejszy obowiązek wpajania w dzieci prawd religii, że więc należy je wcześniej posyłać do szkoły parafialnej, zaś w niedziele i święta na nabożeństwo do kościoła i na naukę katechizmu, tem więcej, ile że w te dni każdy od pracy się wstrzymać i wykonywaniem czynów pobożnych zajmować się powinien, że miłość bliźniego powinna być ogólna i polegać na szczerem pragnieniu ochrony i wspieraniu pomyślności innych, że więc nie należy zazdrościć zamożniejszym towarzyszom i sąsiadom, a tem mniej kraść ich mienie lub w jakikolwiek inny sposób wyrządzać im szkodę; że władza cesarska jest od Boga, a rozporządzenia cesarskie, podatki publiczne, stan wojskowy i wyroki wyższych instancji są absolutnie potrzebnymi środkami szczęścia społecznego, gdyż co jest boskie, należy się Bogu, co zaś cesarskie—cesarzowi; dalej, że władzom przez cesarza ustanowionym należy się posłuszeństwo nietylko z bojaźni, ale i z sumienia, i kto się władzy sprzeciwia, sprzeciwia się Bogu samemu, wskutek czego każdy powinien nadal ulegać rozporządzeniom władz cywilnych i troskliwie unikać nawet pozorów oporu, że panów ziemskich nie należy uważać za gnębiciele i tyranów, lecz raczej za ojców rodziny, przywódców i obrońców ludu, żyjącego w ich posiadłościach ziemskich, że włościanie powinni czuć ku nim miłość, należne im powinności spełniać szczerze, mienia ich strzedz i bronić, a tem więcej wstrzymać się od wszelkich uszkodzeń tego mienia; że wreszcie owoce pracy, w pocie czoła zebrane, nie powinny być marnowane w szynkach i pijatykach dla wzbogacenia żydów, lecz raczej obra-

cane na potrzeby domowe, na polepszenie życia, na zaopatrzenie dzieci i krewnych, ubogich, chorych i nieszczęściami dotkniętych, również na wypadek własnej choroby i starości, lub, gdy komu Bóg dał więcej, niż potrzebuje, niechby ofiarował na naprawę i upiększenie cerkwi parafialnych, a przede wszystkim na powiększenie i rozszerzenie funduszu dla szkół parafialnych.”

Jak widzimy, autor statutu dobrze widział i trafnie określił wiele ważnych zjawisk społecznych swego czasu, trafnie scharakteryzował stan i nastrój ludu wiejskiego. Lecz w środkach zaradczych, które postawione były jako cel towarzystwa, mimo niezaprzeczonej dobrej woli i szczerego pragnienia oświaty ludu, czuć za dużo księdza, moralizatora. Prawda, cele idące więcej w głąb ówczesnych stosunków, więcej społeczno-reformatorskie a mniej moralizujące nie byłyby aprobowane. Mimo to jednak, na ironię zakrawają niektóre punkty programu, jak up. ten, żeby doprowadzić chłopów do miłości ku swym panom, jako ku klasycznym „patres familias“.

Ciekawym i charakterystycznym jest jeszcze jeden ustęp statutu, określający język, w jakim miały być wydawane książki towarzystwa. „Książki te—mówi statut—tak mają być pisane, ażeby i nieoświecone pospólstwo (rudis plebecula) mogło ich używać, a więc w mowie pospolitej (sermone vulgari), używanej po wsiach, przyczem jednak unikać się będzie grubych błędów gwary chłopskiej (duros loquelae plebeae errores) i wypracowywać rzeczy w taki sposób, by łatwo były zrozumiałe i dla najprostszych, a przeciw kłótni się do wykwintniejszego wysłowienia (elegantiorum sermonem), by w ten sposób i chłopska mowa choć pośrednio się doskonaliła, i pospólstwo, przyzwyczajone do wykwintniejszego wysłowienia, łatwiej mogło później rozumieć to, co publicznie podczas nabożeństwa się śpiewa“. I tutaj więc dwoistość: język ludowy uznaje się jako konieczny element oświaty i literatury popularnej, lecz zarazem panuje jeszcze szlacheckie uprzedzenie do tego języka, jako do nieokrzesanej gwary, pełnej błędów i wymagającej uszlachetnienia i rozwoju w kierunku asymilacji z językiem cerkiewnym.

*Iwan Franko.*

# Szkice z dziejów literatury rusińskiej w Galicyi.

---

## III.

Sama myśl zawiązania towarzystwa dla podniesienia oświaty ludu powitana została przynajmniej przez szersze i światlejsze jednostki pośród duchowieństwa wiejskiego nadzwyczaj sympatycznie. „Jużeśmy się spodziewali lepszej przyszłości, tem więcej, że i metropolita Lewicki okazywał się gorliwym Rusinem” — pisze o tym momencie J. Hołowacki 30 lat później, czerpiąc oczywiście z tradycyi ustnej.

Nadzieje te znajdowały oporę jeszcze w jednej okoliczności. Jeszcze w r. 1816 za inicjatywą łacińskiego arcybiskupa Ankwicza wystosował ówczesny gubernator galicyjski, br. Haner, do metropolity Lewickiego dokument, w którym przemawia przeciw wprowadzeniu języka rusińskiego do szkół ludowych, ponieważ jest to narzecze, w którym mało co, albo wcale nie się nie pisze, które zatem wcale nie jest wykształcone i nie może być przedmiotem nauki szkolnej. Nauka w tem narzeczu jest zupełnie niepotrzebna, dla samych Rusinów do niczego nie przydatna i trudno z powodu liter cyrylijskich. Że zaś Rusini galicyjscy przeważnie władają językiem polskim, więc powinien metropolita rozważyć, czy nie lepiejby było uczyć lud czytać i pisać tylko po polsku, „by nie żywić między mieszkańcami jednego kraju, a nieraz nawet jednej i tej samej miejscowości ducha *seperatyzmu*.” Wreszcie proponuje gubernjum metropolicie, na wypadek, gdyby temu był przeciwny, rozważyć przynajmniej, czy nie lepiejby było książki pisane w języku ludowym rusińskim (bo o cerkiewnym chyba nie może być mowy) drukować literami łacińskimi.” W tych kwestyjach proponowało gubernjum metropolicie odbycie wspólnych narad dla powzięcia stanowczej decyzji.

Nie czekając na wynik tych narad, które się zresztą i nie odbyły, zaczęli niektórzy dziedzice w okręgu Czortkowskim zakładać po wsiach szkoły polskie za pieniądze gmin rusińskich, motywując to w ten sposób, że w szkołach rusińskich uczą djaki języka rosyjskiego i że nauka tam nie idzie dalej od sylabizowania.

Te ataki na szkołę ludową odparło wyższe duchowieństwo tak skutecznie, że w r. 1818 osobny dekret cesarski, w którym zapewniono Rusinom w czysto-rusińskich wsiach istnienie rusińskich szkół ludowych, zaś w miejscowościach z mieszaną ludnością, gdzie już istnieje szkoła mieszana, dozwolono im na własny koszt utrzymywać także swą osobną szkołę ludową.

Niestety jednak, dekret ten nie został wykonany, i ze wszystkich tych pięknych początków nie wyszło prawie nic. Biskup Lewicki, zasiadłszy w roku 1818 na stolicy metropolitalnej (mianowany został metropolitą jeszcze w r. 1815), zmienił nagle swe usposobienie względem sprawy rusińskiej; spokrewniwszy się ze szlachecką familją Staszkieviczów, zaczął grać rolę polskiego szlachcica, utrzymywał nałożnicę, na którą tracił wielkie sumy i dla której zakupił wieś Zborę; ze swój 28-tysięcznej pensji rocznej nie mógł odłożyć ani kilkudziesięciu reńskich na wydrukowanie chociażby najmniejszej książki rusińskiej. Język rusiński został wyrugowany z konsystorza; kurendy metropolitarne, nawet kurendy w sprawach szkół ludowych, wydawane były prawie wyłącznie (aż do 1831 r.) po polsku, lub po łacinie; objężdżając swą dycezyję, okazywał on duchowieństwu rusińskiemu jawną wzgardę i zatrzymywał się tylko po dworach szlacheckich.

Co prawda, towarzysz jego pierwszych kroków, kanonik Iwan Mogilnicki, jakiś czas podtrzymywał jeszcze ducha rusińskiego w Konsystorzu Metropolitalnym. W r. 1822 odparł on ponowny atak przeciw używaniu języka rusińskiego, podjęty ze strony namiestnictwa, gruntowną rozprawą o znaczeniu języka cerkiewnego dla Rusinów galicyjskich, jakoteż o różnicy między językiem rusińskim a rosyjskim. Była to pierwsza próba rozejrzenia się w przeszłości języka rusińskiego, chociaż przyznać trzeba, że rezultat jego badania wyszedł u Mogilnickiego więcej przychylny do języka cerkiewnego i książkowego, niż do żywego ludowego.

Zgubiła się też w piasku działalność towarzystwa przemyskiego. Żaden z członków tego towarzystwa, prócz Mogilnickiego, nie pozostawił śladów swej pracy. Współcześni i potomni winę tego zjawiska przypisywali ambicyjom samego Mogilnickiego; jeszcze w r. 1846 jakiś anonim pisał, że „Mogilnicki, jako eparchjalny nadzorca szkół ludowych prowadził monopol książkami szkolnymi i nie dopuszczał nikogo do układania książek szkolnych” (*Slavische Jahrbücher*, 1836, str. 184).

Długie i mroźne było zaranie rusińskiego odrodzenia narodowego. Od r. 1816 do 1830 wyszło u nas zaledwie 36 książek, broszur lub świstków ulotnych, drukowanych literami cyrylickimi, językiem przeważnie cerkiewnym, dalekim od ludowego (12 czysto cerkiewnych, oczywiście prze-

druków, 16 szkolnych elementarzy, abecadeł i t. p.)—3 wiersze przygodne, 3 wydania pomocnicze, katalogi księgarskie i słownik i dwie rzeczy beletrystyczne, nie okazyjonalna z tych jedna—przedruk rosyjskiego wiersza *Dierżawina*, druga zaś nie wolne i prawie niezrozumiałe tłumaczenie wiersza niemieckiego. Cały potężny rozwój literatury europejskiej i polskiej, jaki się odbywał w tym czasie—przeszedł mimo Rusinów galicyjskich bez śladu, nie wykrzesawszy w nich ani jednej żywej jskry. Cerkwiszczyzna zabijała żywego ducha pośród nielicznej inteligencji popychając ją ku polszczyźnie; polonizacja duchowieństwa niższego, rozpoczęta jeszcze w XVIII w., teraz wielkie robi postępy. Po zniesieniu wykładów rusińskich, językiem urzędowym w gr. kt. seminaryjum duchownem i na ambonach miejskich stał się język polski. Cerkwiszczyzna zabija też zwolna szkoły ludowe, skazując je na bezczynność i martwość. Dochodzi do tego, że księża miejscowi i nauczyciele ludowi z trudnością mogą czytać cyryliczne pismo, i dla prywatnego użytku przepisują sobie rusińskie rzeczy łacińskimi czcionkami. W taki sposób przepisane, krążą z rąk do rąk niektóre utwory nowszej literatury ukraińskiej, jak naprz. *Enejda* Kotlareckiego, wiersze *Padury* i t. p. Mam pod ręką rękopis katechizmu dla szkół ludowych, przetłomaczonego z oficjalnej cerkwiszczyzny na język ludowy i spisane łacińskimi czcionkami—rękopis pochodzący z lat 20-tych. Świadczy on najlepiej, jak żywą była potrzeba wykładu i podręczników w języku ludowym i jak mało odpowiadały tej potrzebie ówczesne książki, wydawane z aprobatą konsystoryjalną.

Dodajmy do tego, że i ekonomiczny stan ludu w tym czasie pogorszył znacznie w porównaniu z tem, co było za czasów Józefa II. Zapomniane i zarzucone były dawne projekty tego światłego monarchy—zupełnego zniesienia pańszczyzny i zamienienia jej na oczynszowanie. Cesarz Leopold II sprzyjał więcej szlachcie polskiej; cesarz Franciszek I nie miał czasu zajmować się ludem, jęcząc pod kłopotami finansowymi i bankructwem państwowem, zmordowanem wojnami napoleońskimi. Wreszcie po kongresie wiedeńskim nastąpił peryjod powszechnej reakcji, któremu w Galicyi odpowiadało gubernatorstwo br. Hanera. Wspominaliśmy już o atakach tego gubernatora na język rusiński, ataki te zostały odparte, lecz nie było komu odeprzeć innych ataków na stan ekonomiczny ludu. Pod egidą tego gubernatora dokonany został w r. 1819 nowy pomiar Galicyi, spisano nowe inwentarze pańszczyźniane. Grunty, używane przez chłopów, t. zw. rustykalne, okazały się znacznie uszczuplonymi; lasy gminne, o których mówią wyraźnie patenty józefińskie—zniknęły, natomiast, suma ciężarów i powinności poddańczych znacznie się powiększyła. Rozpoczęły się liczne niepokoje, zensty chłopskie, uśmierzane za pomocą kijów i więzienia, rozpoczęły się długoletnie procesy o wydarte grunta włościańskie, procesy, które niszczyły całe gminy. Patent józefiński, nakładający na dziedziców karę za uciskanie poddańców—poszedł w zapomnienie; śpichrze gminne, założone za Józefa II—w r. 1882 skonfiskowano na potrzeby państwowe. Jednym słowem po owym pierwszym początku odrodzenia w r. 1816 zdawało się, że jeszcze cięższa i ciemniejsza noc zaległa nad Rusią galicyjską i że ten odłam narodu ukraińskiego, złożony dziwnem zrzędzeniem losu jedynie z ciemnych chłopów-niewolników i z popów, bądź to nie o wieie światlejszych, bądź też zupełnie zapominających o swym ludzie i jego losie—musi przepaść i zniknąć i stracić swą indywidualność narodową.

Tak się jednak nie stało. Reakcja umieściła już w sobie pierwiastki nowego ruchu, wśród ciemności błąkały się już rozproszone promyki światła. Trzeba było jednak burzy, któraby wzruszyła tą zgniłą, stojącą wodę i pomogła jej bodaj nieco się oczyścić. Burza taka zerwała się też w r. 1830.

*Iwan Franko.*

# Szkice z dziejów literatury rusińskiej w Galicyi.

## IV.

Przełom nie przyszedł odrazu, nie był czemś zewnętrznym, ale rósł zwolna, organicznie na tem samym polu, które zdawało się jeszcze tak pustem i martwym. Z różnych stron równocześnie padały na to pole zdrowe nasiona, padały nieznacznie, ale nie ginęły i musiały czasem wyrósć i wydać owoce. Czas między r. 1820 a 1830 był dobą wielkiego ożywienia i rozbudzenia umysłowego pośród Słowiańszczyzny zachodniej i południowej, dobą żywych stosunków i korespondencyj naukowych między uczonymi

---

1) Patrz kalendarz *Ruch* na rok bież.

2) Według kalendarza *Ruch* ogólna liczba mieszkańców Królestwa w r. 1886 wynosiła 7,999,330.

3) Podajemy za p. Zakrzewskim *minimalną* cyfrę.

zachodnio-słowiańskim i polskimi i rusińskimi. Świeżo wydana przez prof. Jagieza korespondencja naukowa między Dobrowskim a Kopitarem daje nam wierny obraz tego ruchu, jaki się odbywał wówczas w naukowym świecie słowiańskim. W r. 1817 odkrył i wydał Hanko rękopis królodworski (starobyła skladaue), który zrobił ogromne wrażenie w całym świecie naukowym i literackim, mimo że Dobrowski i Kopitar zachowali się względem tego odkrycia z niedowierzaniem, a o rękopisie Zelenohorskim (sąd Lubuszy) mówili stanowczo, jak o falsyfikacie. W roku 1814 zaczęły wychodzić zbiory Wuka Karadzicza serbskich pieśni ludowych, w r. 1822 wyszła Dobrowskiego gramatyka języka starosłowiańskiego, a w r. 1826 Szafarzyka historia literatur słowiańskich. Kopitar, zajmujący w tym czasie w Wiedniu stanowisko bibliotekarza przy bibliotece nadwornej i zarazem cenzora książek słowiańskich, marzył o tem, by uczynić Wiedeń ogniskiem umysłowego ruchu słowiańszczyzny; wydawana pod jego wpływem *Wiener literaturzeitung* śledziła pilnie wszystko, co pojawiało się na polu slawistyki; do współpracownictwa przyciągnął Kopitar Dobrowskiego, Lindego i innych uczonych słowiańskich. Tu też spotykali się osobiście uczeni słowiańscy: Kopitar, Dobrowski, hr. Ossoliński, Bandtkie, Linde, Karadzicz i inni.

Zywe odgłosy tego ruchu dochodziły i do Galicyi. Na uniwersytecie lwowskim, odnowionym w r. 1817, było kilku Czechów, jak Hanusz, autor Mitologii słowiańskiej i Koubek, którzy utrzymywali żywy związek z uczonymi czeskiemi. Jakiś czas był także profesorem tego uniwersytetu, Wacław Zaleski, gruntowny znawca estetyki niemieckiej, lecz zarazem wielki miłośnik rzeczy słowiańskich. Usiłował on zwrócić uwagę publiczności polskiej na literaturę czeską i w całym szeregu artykułów, umieszczonych w czasopiśmie *Rozmaitości* 1827 r. wykazywał jej tendencję i wagę.

I z innych stron załatywały do martwej Galicyi zdrowe i rodzajne ziarna. Uniwersytet lwowski liczył w swem gronie profesorów, gorących miłośników nowszej literatury i nauki niemieckiej, jak Maurisa, Strońskiego, Knuzeka, którzy wielki wpływ wywierali na młodzież. W literaturze polskiej rozpoczynał się tak płodny w rezultaty romantyzm; z Warszawy dołatywały i do Lwowa żywe słowa Brodzińskiego, w r. 1825 wyszła Chodakowskiego „Słowiańszczyzna przedhistoryczna”, a i sama postać tego szlachetnego oryginała, wędrującego od wsi do wsi, żyła w ustach młodzieży, owiana mgłą legendową. Kraszewski pochwycił ją w locie i wielił w jednej z najsympatyczniejszych postaci swych „Dwóch światów.” Rzucono się więc i w Galicyi do zbierania pieśni ludowych, podań, przysłów, zabytków starożytności. Potrafił o to Hüttner, profesor uniwersytetu lwowskiego w kalendarzu na rok 1823 p. t. „Der Pilger von Lemberg”; w roku następnym w kalendarzu „Pielgrzym lwowski” umieszczono parę pieśni rusińskich z przekładem niemieckim Pohla von Pohlenburga, ojca Wincentego Pola, a także artykuł o ważności pieśni ludowych Dyonizego Zubrzyckiego. Pieśni ludowe zbierał już od dawna Wacław Zaleski, przeniesiony w r. 1828 do Nowego Sącza, jako urzędnik państwowy miał sposobność uzupełnić swój zbiór; za jego inicjatywą utalentowany muzyk, Karol Lipiński zbierał melodyje pieśni ludowych. Tak powstał wydany w r. 1833 znakomity w swoim czasie zbiór p. t. „Pieśni polskie i ruskie ludu galicyjskiego, zebrane przez Wacława z Oleska, z muzyką instrumentowaną przez Karola Lipińskiego.” Nie myślę tu oceniać etnograficznej wartości tego zbioru, nie mniejsze od tej wartości miał on znaczenie dla rozbudzenia ducha narodowego rusińskiego, dla rozkrzewienia pośród młodzieży rusińskiej tej myśli, że literatura rusińska w języku ludowym, w języku tych pieśni jest możliwą, i że właśnie w tych pieśniach dane są dla niej wzory języka, układu myśli, rzutu i form poetyckich. Zbiór Zaleskiego był pierwszym propagatorem tej myśli w szerokich kołach inteligencji galicyjskiej, po plebanjach i dworach wiejskich śpiewano te pieśni, przepisywano je, uapawano się nimi, a totem chętniej, ile że zbiorów mieścił nie naze tylko pieśni ludowe, ale (osobliwie w dziale polskim) sporą ilość utworów sztucznych, wierszy Karpińskiego i innych poetów sentymentalnych końca XVIII i początku XIX wieku, a w dziale rusińskim również sporą ilość pieśni, złożonych i zbieranych po dworach

szlacheckich i w duchu szlacheckim. Było tu więc dość nici, łączących przeszłość z przyszłością.

Nie brak też było bodźców i z innej strony. W sąsiedniej Ukrainie rozpoczął się był od 1798 (rok wydania Eneidy Kotlarewskiego), a osobliwie od czasu założenia uniwersytetu w Charkowie w r. 1805 nowy ruch literacki i umysłowy. W tym samym r. 1805 powstaje pierwszy (dotychczas nie opublikowany) zbiór historycznych dum ludowych, po którym poszły zbory Łukaszewicza, (1816), Certelewa (1819), Maksymowicza (1827 i później). W latach 1798, 1808, 1809 wychodzą trzy pierwsze niekompletne wydania Eneidy Kotlarewskiego, w latach 1819 i 1820 ten sam Kotlarewski i Bazyli Gogol (ojciec genialnego pisarza rosyjskiego) czynią pierwsze próby stworzenia narodowego teatru ukraińskiego. W r. 1819 wychodzi w świat pierwsza gramatyka ukraińska Pawłowskiego; w tymże roku wychodzą też „Ukrainki” Padury w Warszawie. Prawie wszystkie te utwory i wydania bodaj po jednym egzemplarzu, bodaj urywkami dostają się z czasem i na Ruś Halicką, a niektóre z nich wywierają tutaj silne wrażenia. Do takich zaliczyć trzeba szczególnie gramatykę Pawłowskiego Eneidę Kotlarewskiego i ukrainki Padury. Z powodu trudności dostania tych książek przepisują je nie tylko Rusini, ale i Polacy — myśl o możności i konieczności literatury ludowej zarysowuje się coraz wyraźniej.

Lecz nie dość na tem. Były jeszcze inne elementy, które siłą konieczności popchnęły sprawę tej literatury ludowej z chwilą jej narodzenia po za ramy prób szkolnych lub cerkiewnych, jakimi były w wieku XVIII składane w mowie ludowej pieśni cerkiewne lub np. taka rzecz, jak wydana nie wiadomo w którym roku w Począjowie książeczka... „Switska polityka,” rodzaj *savoir vivre* dla młodzieży szkolnej. Teraz powstająca literatura rusińska musiała stanąć od razu na szerokim narodowym i społecznym gruncie. Wszystkie owe zbierania pieśni ludowych i podsłuchiwanie jego tradycyji miały swe źródło na pół może w jakimś starożytniczym mistycyzmie, lecz na pół w gorącej miłości ludu, w gorącej wierze w jego siły, w gorącym współczuciu z jego losem. Załatywały do nas, mimo chińskiego muru austriackiej cenzury i świętego przymierza — myśli i zasady wielkiej rewolucyi francuzkiej. Żył w Galicyi dużo ludzi, którzy walczyli z Francuzami, nieraz długie lata przebywali we Francyi internowani, zresztą i sami Francuzi zaglądali do nas, jak np. w roku 1809 i 1812. Rzucały też nie mały refleks na Galicyję stosunki polityczne sąsiedniego królestwa kongresowego z jego konstytucyją, sejmem, a dalej od r. 1818 zapewne i prace wielkiego Towarzystwa patryjotycznego. Zaczyna się budzić duch publiczny, który nie mogąc znaleźć sobie pola legalnego, wraca się do konspiracyi, do tajnych towarzystw. Towarzystwa te powstają początko o wśród młodzieży, mają cele najniebezpieczniejsze w świecie: znajomienia się z literaturą ojczystą, z krajem, wzajemne wspieranie się w studyjach, zaprawianie się do pracy literackiej. W r. 1818 zawiązuje Walenty Chłędowski takie towarzystwo wśród młodzieży uniwersytetu lwowskiego. Trwa ono przez lat parę i pozostaje niewykryte przez argusowe oczy rządu. Mniej szczęśliwym był późniejszy historyk Karol Szajnocha, który około roku 1828 zawiązał był podobne towarzystwo wśród młodzieży gimnazyjalnej; władza gimnazyjalna dowiedziawszy się o niem, sama doniosła o wszystkim policyi. Szajnochę aresztowano i wydano z zakładu.

We wszystkich tych embryjonach ruchu umysłowego Rusini szli ręką w rękę z Polakami, różnicy narodowości swęj prawie nie odczuwano. Dopiero rok 1830 zmienia postać rzeczy. Osobliwie w większych zbiorowiskach młodzieży rusińskiej w gr. k. seminaryjach duchownych zaczynają się ożywić sprzeczki i kłótnie na ten temat. Szczególnie w Wiedniu kłótnie te przybierają ostry charakter. Alumnus ówczesny a późniejszy metropolita Rusi Halickiej, Litwinowicz, pisze nawet sekretne memoranda, recte — denuncyjae na swych kolegów-polonofilów do rządu.

W Wiedniu ze strony rusińskiej pojawia się wierszowany pamflet: „Kto Lach, ma strach;” we Lwowie zaś zaczęły się próby organizacyi doniosłych w skutkach, które od razu postawiły rzecz stanowczo i bezpowrotnie na właściwej drodze.

Iwan Franko.